

Gość niedzielnny

Dodatek tygodniowy do Orędownika Śląskiego

Rok III.

Niedziela, dnia 19. marca 1922

Numer 11.

Niedziela III. postu.

Lekcja

list św. Pawła do Efezów rozdział V, wiersz 1—9.

Bądźcie tedy naśladowcami Bożymi, jako synowie najmilsi. A chodźcie w miłości, jako i Chrystus umiłował was i wydał samego siebie za nas obiatą i ofiarą Bogu na wonność wdzięczności.

A porubstwo i wszelka nieczystość, albo łakomstwo niechaj nie będzie ani pomieniono między wami, jako świętym przystoi. Albo sprośność, albo głupia mowa, albo żartowanie, które do rzeczy nie należy, ale raczej dziękowanie. Bo to wiecie rozumiejąc, iż wszelki porubca, albo nieczysty, albo łakomec, (co jest bałwochwalstwo), nie ma dziedzictwa w królestwie Chrystusowem i Bożem. Niechaj was nikt nie zwodzi próżnemi słowy; albowiem dlatego przychodzi gniew Boży na syny niewierności. Nie bądźcież tedy uczestnikami ich. Albowiemście byli niekiedy ciemnością; lecz teraz wiatłością w Panu. Jako synowie światłości w Panu. Jako synowie światłości chodźcie. Bo owoc światłości jest w wszelkiej dobrotliwości i sprawiedliwości i prawdzie.

Ewangelja

św. Łukasza XI, 14—28.

I wyrzucił czarta, a on był niemy; a gdy wyrzucił czarta, przemówił niemy: i dziwowały się rzesze. A niektórzy z nich mówili: Przez Beelzebuba, księżęcia czartowskiego, wyrzuca czarty. A drudzy kusząc, domagali się znaku od niego z nieba. A on skoro ujrzał myśli ich, rzekł im: Wszelkie królestwo, przeciw sobie rozdzielone, będzie spustoszone, i dom na dom upadnie. A jeźliż i szatan rozdzielon jest przeciw sobie, jakóż się osto królestwo jego? gdyż powiadacie, iż Ja przez Beelzebuba wyrzuca czarty. A jeźliż Ja przez Beelzebuba wyrzucam czarty, synowie wasi przez kogo wyrzucają? dlatego oni sędziami waszymi będą. Lecz jeźli palcem Bożym wyrzucam czarty, zaiste na was przyszło królestwo Boże. Gdy mocarz zbrojny strzeże dworu swego, w pokoju jest to, co ma. Ale jeźli mocniejszy nadeń nadszedłszy, zwycięży go, odejmie wszystkę broń jego, w której ufał, i korzyści jego rozda. Ktoć nie jest zemną, przeciw mnie jest, a kto nie zgromadza zemną, rozprasza. Gdy duch nieczysty wynidzie od człowieka, chodź po miejscach bezwodnych, szukając odpoczynku: a nie znalazłszy, mówi: Wróć się do domu mego, zkądem wyszedł. A przyszedłszy, znajduje go umieciony i ochłodzony. Tedy

idzie i bierze z sobą siedmiu innych duchów gorszych nad się, a wszedłszy, mieszkają tam, i stawają się pośledniejsze rzeczy człowieka onego gorsze, niżli pierwsze. I stało się, gdy to mówił, podniósłszy głos niektórą niewiastę z rzesze, rzekła mu: Błogosławiony żywot, który cię nosił, i piersi, któreś ssal. A on rzekł: I owszem, błogosławieni, którzy słuchają słowa Bożego i strzegą go.

Nauka.

„Kto nie jest ze mną, jest przeciw mnie, a kto nie zgromadza zemną, rozprasza“! Wołanie to Jezusowe poprzez kraje szerokie, poprzez długie wieki idzie ku nam jako groźne ostrzeżenie przed obojętnością, przed oziębłością we wierze. Co to jest oziębłość religijna? Jest to ten brak zajęcia się i przejęcia się sprawami wiary chrześcijańskiej, stronienie od spowiedzi i innych sakramentów św., opuszczanie mszy św., wyziębienie uczuć miłości Boga i bliźniego. Oziębły katolik, to człowiek, które wcale albo bardzo mało dba o swoją wiarę. Urodził się katolikiem, kazała go matka chrzczyć, wychowała jako tako po katolicku, nazywa się więc katolikiem — lecz to mu tak obojętnem prawie, że mógłby być innowiercą i żydem nawet. O, jakżeż to smutno, że tylu katolików mimo tej krwawej śmierci Chrystusowej z zimnem sercem przechodzi i nie korzysta z owoców krzyża św.! Wszak prawda, Katolikami są oni, a stronią od sakramentów św., chrześcianami są, a wzdrgają się korną pochylać głowę u stóp konfesjonału, braćmi młodszymi Jezusa są, a nie spieszą na ucztę przez brata najstarszego zgotowaną, nie spieszą do stołu pańskiego. Nie tylko na Żydach ongiś, ale dziś na katolikach spełniają się historyczne słowa pisma świętego: „A oni zaniedbali i odeszli, jeden do wsi swojej a drugi do kupiectwa swego“. Zaiste, obojętność religijna jest objawem wstrętnym. Gdy zajdziesz wśród cieniste aleje parku prastarego, ujrzysz nagle staw zapomniany. Stoi woda w tym stawie od miesięcy, może od lat całych, stoi taka stara, nieporuszona, mętne okiem na siebie spogląda poprzez chwasty i zielisko oślisz. Jaka ona straszna ta woda stojąca, jaka wstrętą; gdy ją poruszy, jak to ona cuchnie. Do wody stojącej, cuchnącej wstrętnej przyrównać można człowieka oziębłego. Tak jak ta woda nie wypełnia swego przeznaczenia, tak i oziębły człowiek zapomina o swym celu i przeznaczeniu. — —

Hej wiosno!

(P. Ludwice Brunwald.)

Hej, wiosno, powróciłaś czarowna królowno,
Ale ty już nie taka, jak byłaś przed laty...
Nie mówisz mi do duszy, tak anielsko-śpiwno,
Nie tak wonne, czarowne, łudzące twe kwiaty

Hej wiosno! hej królowno jasna złotowłosa,
Dziś na twoje zielono-kwieciste kobierce,
Z moich oczu się sączy, łez milczących rosa,
Twoja rozkosz dla innych... nie dla cię me serce.

Hej wiosno, już ty nie ta co byłaś przed laty
Już nie ta w tobie cudność, nie ta miłość w tobie
Kiedy jeszcze raz przyjdiesz, może twoje kwiaty
Okwieca mię, okryją darnią w zimnym grobie.

Hej wiosno, nie ujrę ja wtedy twego słonka
Ani śpiewu skowronka twego nie usłyszę,
Ale gdy się Magdusia, na mój grób zabłąka,
Usłyszę ja jej kroki w zagrobową ciszę...

Jantek z Bugaja

Fryderyk Franciszek Chopin

Napisał Kazimierz Ligoń.

Dokończenie

Po powrocie do Paryża z trudnością odzyskiwał równowagę. Bądź to że sposób życia jaki widł, nie odpowiadał mu, bądź to, że zdrowie nie pozwalało udzielać nadal lekcji, — zaniedbywał swoje obowiązki. Dał się wreszcie nakłonić do trzeciego występu publicznego. Po dziesięciu latach przerwy dał znowu koncert w r. 1844 w salonach Pleyl'ego.

Natchniony całym czarem swej poezji, wlewając pełnię swej duszy w instrument, grał sam jeden i — wreszcie odniósł niebywały tryumf. Odtąd koncerty jego stały się sensacją paryską. Trwało to do roku 1848. Przewroty polityczne, zmusiły go do opuszczenia Francji. Zdrowość jego tymczasem coraz więcej się pogarszała. Po krótkim pobycie w Anglii, ze znakiem śmierci na twarzy, wrócił jeszcze raz do Francji, by tam zakończyć swój twórczy żywot. Zasnął na rękach siostry, otoczony przyjaciółmi dnia 17. października 1849 r. w czterdziestym roku życia.

Chwilę tę przedstawia Liszt w swem dziele o Chopinie:

„Gdy odsunięto podwoje salonu, pobiegli wszyscy znajomi do ciała martwego i długo, długo staliśmy przy nim nie mogąc powstrzymać łez żałości.

godnej smętności, rozkołysanych tęsknot, jakieś polnej zadumy i dziwnych, ogromnych upojen pełne...

Książd Piotr patrzył i patrzył, i zrazu odróżniał zboże od łąk, a las od wody, ale powoli poczynął mu się ten duży i rozmaity świat zlewać, łączyć, zamieniać w jedną wspólną barwę, błękitną i prześliczną. Zboża, kwiaty trawy i ciche kręgi fal jeziora i czaple na szerokich białych skrzydłach i stada krzykliwych czajek i obłoki przejrzyste i niebo jasno-błękitne, wszystko to napelniało mu oczy i czyniło w nich wielką światłość pogodną i niezmiernie słodką. Zdawało się księdzu Piotrowi, jakoby on już nie świat sam rzeczywisty, ale duszę świata widział, raczej opar jakiś czy mgłę, kołory ziemi noszącą, niż samą ziemię.

A potem to widzenie więcej duchem, niż oczyma poczynąło się gubić i rozwiewać w przestrzeni wylaniających się z pamięci obrazów, niegdyś widzianych. Zatem poczynąły się w duszy księdza Piotra rozbieknieć olbrzymie przewieje morskie, z okrętami o białych żaglach i olbrzymie przewieje pustynne; poczynąły w niej szumieć cedry Libanu i palmy oaz arabskich, poczynąły w niej rósć piramidy milczące i wulkany o czerwonych kiściach płomienia u szczytu; poczynąły się jawić miasta wschodnie, stubarwne, i owe rzymskie martwe, z ziemi dobywane, i ludzi tłumy i zwierzęta dziwne; tworzył się w niej łagodny, przyćmiony odległością czasu chaos wrażeń, ogarniało ją zapomnienie się, zamyslenie. I nieraz dopiero wysłany umyślnie przez gospodynię ulubieniec staruszka siedmioletni sierota, — Ignas Znajda, budził go z zadumy, ciągnąc za sułannę.

— Jegomość!
— A... a co?
— Jegomość spali?
— E, tak mi się tylko nieco zdrzemało.
— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby Jegomość śli.

Książd Piotr

Nowela.

KAZIMIERZ TETMAJER.

3)

— Jak książd kanonik mówi?

— Broń waś brzucha z lewej strony.

Organista zdumiał się.

— Wszelki duch Pana Boga chwali, po prawdzie, żeby powiedzieć! Wedle czego?

— Nie pytaj się nic, tylko słuchaj. Na lewej nodze się oprzej. Lepiej, tak. Przęgnij się. Brzuch w tył. Ou, jaki to sztywny masz brzuch. Jakem był w twoim wieku, to jeszcze miałem jak panna Kłocia Tymiska, com to jej onegdaj gruszek suszonych do Strzyżowic posłał na siedemnaste urodziny. Podnieś głowę. Prawa wolna, Tupnij! Raz, dwa! Wypnij pierś. Ręka tak. Potem tak. Rozumiesz? Ja tak, ty tak! Raz, dwa! Garde vous!

— Podług rozkazu, księże kanoniku!

— Teraz bacność! En garde!

Organista jęknął, a kwarta poszła tak dobrze, że ugodziła nietylko w brzuch pana Dzięgielewskiego, ale i w dwa wazonki z fuksjami na oknie, które zleciały z wielkim hałasem.

„Biada podrzędnej istotom, gdy wchodzą

Pomiędzy ostrza potężnych szermierzy“ *)

zdeklamował książd Piotr, stając nad skorupami, ale potem panna Katarzyna Capikówna wpadła do pokoju, czerwona, jak pomidor, gwałtowna, jak bomba.

— Jegomość! — krzyknęła.

— A co? — spytał skonfundowany nieco książd Piotr, nadrabiając miną.

*) Hamlet.

— Wstyd i obraza Boska! Żeby tak kto zobaczył! Książd kanonik, jak fircyk, z cybuchem po pokoju. A pan organista mógłby też mieć rozum. Ojciec dzieciom i niby jakiś szlachcic! Jak się to jeszcze naraz zdarzy, — nie dam kawy — jak Bóg mego, nie dam kawy!

— Owa! Babska groźba, zabie deszcz! — ośmielił się mrknąć książd Piotr.

— Babska nie babska! Jegomość mi też podłotek — ofuknęła panna Katarzyna. — Może kamizeleczkę białą i żabocik! Patrzcie! — i zaperzona wypadła jak huragan z pokoju.

Książd Piotr jednak był kontent.

— Baba jest zwyczajnie jęda — mruczał — a bądź co bądź ręka nie jest jeszcze zła. Jakby tak padło, ho ho!

Lubił książd Piotr w letnie popołudnie za ogrodzenie plebańskie wyjść i na ławce pod starym cisem siadłszy, w świat patrzeć. Widział stąd zboża złociste, pełne modrych blawatków i maków czerwonych, różowe i białe zagony koniczyn, łąki zielone, przesiane mnóstwem różnobarwnych kwiatków, mieniące się pod blask słoneczny. Widział bór ciemny, jakoby pod rżącą, przeźroczą gaszą złotą-smaragdowego światła i gdzieś daleko mgliste, błękitniejące góry; a nieopodal widział jezioro wielkie, ciche, lekką falującą z wiatrem rozchcianą wodą, nenufarami u brzegów i szeleszczącym sitowiem zarosłą, iskrzącą się miejscem jak blacha srebrna w słońcu, miejscem siwą lub siwo-fioletową. Po jeziorze pływały kaczkę dzikie, czerniąc się na topieli sznurami, zawisały ponad niem czaple o skrzydłach szerokich i chmary czajek krzykliwych, a jezioro ciągnęło się szeroko, głęboko w kraj, ciche, senne, lekko z wiatrem faliste.

Wszystko to było zatopione w jakąś srzeżogę światła, nieskończenie spokojne, rozległe, prawie bezgraniczne, jakby zasłuchany w wiatr i szum łąk i wody, ta-

Znano jego przywiązanie do kwiatów, to też nazajutrz, gdzie leżały jego zwłoki, zamienił się pokój na ogród. Śmierć oddała mu całą jego piękność. Artysty paryscy oddali hołd naszemu królowi muzyki, w kościele la Madelainne, gdzie odbyło się uroczyste nabożeństwo żałobne. Na wiasne życzenie wyrażone przed śmiercią, odśpiewano mu „Requiem“, Mozarta, następnie orkiestra wykonała sławny jego marsz żałobny i preludje.

Ciało Chopina złożono do grobu, lecz duch żyje nadal w jego dziełach. Wszakże pozostawił nam nieśmiertelny „Marsz żałobny“, swe „Polonezy“, Mazurki, Noctorny, Sonety“. Z czterdziestym rokiem opuścił ziemię a przecież 65 wielkich dzieł wzięliśmy po nim w spadku, nie licząc utworów drobniejszych.

Kto z nas zna — Marsza żałobnego Fryderyka Chopina? —

To tylko Polak mógł napisać. I w rzeczy samej: Marsz żałobny, to bicie dzwonów pęsepnie i groźne na pogrzeb własnej ojczyzny. Lecz jest w tem cudownym granium tonów, nadzieja mistyczna i błaganie miłosierdzia Bożego. Nie jest to śpiew żałobny nad ciałem rycerza, którego inni gotowi pomścić, ale śpiew ostatnich z narodu! Nie ma tam krzyków przeraźliwych, ani szlochania, ani bluźnierstwa, złorzeczeń. — Wielka wiara w zmartwychwstanie łamie gorzką boleść, — zwątpienia.

Nie ma już ziemskiej słabości, w tym wielkim bólu. Odrywa się dusza od ziemi, lez i krwi padołu, a pnie się zaświaty i szuka Boga, sędziego wszechrzeczy.

Marsz żałobny przedstawia jędrno duszy Chopina A przecież wyrwały się też z tej piersi głosy potężne, tchnące pełnią życia polskiego. I chociaż zabarwione smutkiem i melancholją to przecież są obrazem narodu wielkiego.

Energiczne rytmy polonezów chopinowskich jakby prądem elektrycznym dotykają najojojniejszego. Podczas ich dźwięków najświetniejsze tradycje dawnej Polski, powstają przed nami. Powstaje Polska w blasku swej cywilizacji, potęgi i chwały. Pełne majestatu postacie rycerskie zjawiają się przed nami nieustraszone, nieugięte a jednak tak proste, dumne i bystre, a tak głęboko przejęte wiarą. Szalona odwaga i owa fantazja kawalerska, która nigdy nie opuszczała, prawdziwych synów Polski, czy to na polu wojennym, czy przed bitwą, czy po zwycięstwie. To także rozciąganie zagadki, dlaczego obokrajowcy w Polsce tracili swą narodowość, a Polacy za granicą stracić jej nie mogli.

W tańcach narodowych, odzwierciadla się dużo charakteru narodowego. A właśnie polonez w swych pierwiastkach, głęboko napływa z duszy polskiej Chopina.

Polonez, to taniec wstępny, prowadzi go gospodarz, nie z damą najpiękniejszą lub najmłodszą, lecz z panią najgodniejszą, często najstarszą. I oto odbywa się nie promenada maszynowa, lecz pochod tryumfalny, potężny orszak dumy narodowej piękne postacie w złocistych żupanach i kontuszach, karabele przy boku, mina dostojna, wobec damy cześć najwyższa.

Zabrzmi polonez Chopina, w tonach jego gry usłyszysz rytmiczne stapania, widzisz jak w gracji niewymownej ciągnie się długi wąż pochodu lśniący od przepychu baru. Widzisz te pary wypływające i znikające wśród zieloności i kwiatów, które gospodarz przybrał pokoje.

Rad przyjął gości, a teraz wszystkim swój dom okazuje. A za każdym skretem nowa dla gości niespodzianka; — to zapłoną sztuczne ognie, to zagrzmią

— Dobrze, dobrze, zaraz idziemy.
— Jegomość!
— A cy Pon Jezus to tak po niebie chodzi jak jegomość po ziemi?
— A tak.
— A cy je boso?
— A pewnie. Pocóżby tam buty nosił, kiedy tam ciepło.
— A cy je wielgi?
— Ho, ho! jak świat!
— A to jak pierun gruchnie, to mu między palce od nóg leci?
— A pewnie, pewnie.
— A cy je dobry?
— Ho, ho! jak miód!
— A miód je dobry?
— A czyś to nie próbował?
— Pombók?
— A Pan Bóg jest też dobry.
— Jesce lepsjsy?
— Nie, jednako, jednako.
— A wielgi je Pombók?
— Taki, jak i Pan Jezus.
— Jegomość!
— A co?
— Pani gospodyni kozeli pedzieć i prosi, coby jegomość śli.
— Dobrze, dobrze, chodźmy.
— No, to, pójdźcie. Dojcie renke. Pomalucku, boście starzy.

I Ignas brał za rękę księdza Piotra i szli razem ścieżką ku plebanji, rozmawiając po drodze dużo i serjo.

Zajęty służbą Bożą i ludzką, a zajęty bardzo ciężko, ksiądz wikary bowiem, studjujący dniami i nocami dzieła teologiczne, małą mu był wyręka, nie miał księdza

Co godo Zeflik polityk.

Konferencyje i konferencyje. Kaj sie obejrzyz tam radzą i radzą i nie mogą na to jakoś nie poradzić, na ta bieda w świecie. Od czasu, jak my przed rokiem (jutro bydzie rocznica plebiscytowa, zaś rocznica plebiscytowa bydzie trocha nieskorzej) przegłosowali Miemców, tak zaczm radzić i zaś teraz radzom nad nami w Genewie. Ale wszystko sie jednak roz skończyć musi, tóż też i te narady — obrady — dorady — przyrady — porady — i jak tam sie te rady jeszcze nazywają, sie roz przeca skończyć muszą, i myśla, że już na 3-go maja bydom nasze serca sie radować widokiem tych pięknych malowanych chłopów polskich, jak dziolchy nazywają wojków. Zaś Miemcy niech sie już zawczasu kupiom rinocerusu abo ricinusu jak sie to tam nazywo ten lek na wątroba, aby nie dostali żółtawki kej łoboczom rogatki polskie. Czas już jest, aby nareszcie nasza kochana Polska przysła i zrobiła porządek. Bo nietylko bandyci i inni fajni ludzie przyjemne tu prowadzą życie, ale też niekierzy tak zwani obrońcy pod wpływem Kisslinga i inych dobrych sznapsów w Parkhotelu zabierają sie rewolwerami do zomków i chcą powystrelać zomki, aby szybko drzwi łotworzyć, i robie „rewizje“ jak sie to stało niedawno w „Łorendowniku“. Chociaz tam nieraz elekstryka może zastrejkować, jak to zrobiła wczora w Król. Hucie, to jednak nigdy nie powinna zastrejkować elekstryka w głowie takiego pana, co mo świecić przykładem całemu powiatowi i swoim poddanym, i co mo być tem jaśniejsza iż ta elekstryka przysła aże z Anglii. Ale jo zawsze padom, iże na elementy do elektryki nie nadowo sie whiski i inno pyrtulka, i skiz tego może też elekstryka u takiego Anglika nie roz może zrobić kurczus, jak sie to pokazało w sprawie naszego „Łorendownika“.

Teraz iberhaupt zaś elekstryka jest trumf. Godajom, iż orgeszowcy som zelektryzowani i może lada chwila nastąpić kurczus, co sie w tym wypadku nazywo „pucz niemiecki“. Ale i na to jest rada. — Tak jak jest rada na ta genueńska konferencyjo, co to chciała przedewszystkiem łogolić bez mydła nasza Polsko, a potem Rumunijo i inne kraje. Teroz te kraje połączyły sie jednym drutem elektrycznym w Belgradzie i Warszawie (na konferencyji) i elektryka państw Małej Ententy i państw bałtyckich tak zajaśniała w ślepie Lloyd Georgowi, iż oślep i bydzie musioł iść na wycug to jest na dymisjo. Czas by był z nim, bo starość nie radość, a Lloyd George już mo dziennie pogląda, jak to pokazało sie przy jego historycznych wywodach o Śląsku.

Ale musza skończyć, boch sie już za doleko zapuścił w polityka, a chciolech coś inkszego weselszego napisać. Dziś już musza przestać, a zato na drugi roz coś weselszego napisza.

Wasz Zeflik.

uciechą fanfary, to piękny obraz czaruje widzów, to w dziedzińcu huknie młodzież na powitanie gości. Orszak zdumiony wraca do sali, nagle urywa muzyka, by z tem większą potęgą uderzyć radosnym hejnałem.

Skończył się polonez.....

Goście rozpraszają się po sali, wesołość i swoboda biorą górę. W tem gospodarz daje znak, młodzież zbiera się do mazura. Charakter zabawy zmienia się zupełnie. I znowu Chopin uchwycił piękność tańca polskiego.

Występują osobne pary.

To nie towarzystwo niemieckie, gdzie każdy bawi się na własną rękę, to całe polskie grono otacza tańczących, napawa się widokiem pięknych figur ma-

Piotr wiele czasu myśleć o mierści, tem bardziej, iż zawsze zapowiadał, iż od setki ani dnia Panu Bogu nie opuści. Ale pewnego jesiennego wieczora, kiedy słońce zaszło, ostatnie fioletowe plamy kładąc na ciemnem niebie, ksiądz Piotr, który długo przedtem siedział w milczeniu na ganku od ogrodu, zdając się drzemać, zwrócił nagle głowę ku siedzącemu naprzeciw organście i rzekł poważniejszym niż zazwyczaj głosem:

— Panie Dziegielewski, mnie się zdaje, że trzeba iść. —

— A dokąd, że śmiem zapytać?

— Dalej, niż stąd do kancelarji parafialnej. Tam... I pokazał ręką ku bielejącemu się opodał muiowi cmentarnemu.

Dziegielewski zachnął się.

— A co też ksiądz kanonik dobrodziej wygaduje! Po prawdzie, żeby powiedzieć, to nawet nie przystoi, pfe! Jeszcze można w złą godzinę...

— No, zobaczysz, panie Dziegielewski, organisto kłoniccki, że mnie już trzeba iść. Już czas, już i tę trzynastkę Panu Bogu odstąpić muszę.

— O, o! Wolałby jegomość nawet nie wymawiać takich przykrości.

— E, już i czas. Spodziewałem się właśnie dziś rano, jakby umyślnie. I komunję przyjąłem. Gotów jestem. Po księdza wikarego też jeszcze posłać można będzie, ale przeprosić go pięknie, bo pewnie nad „Summą teologiczną“, albo „Naśladowaniem Chrystusa“ będzie siedział. Takich kanonikami robić, nie mnie, staroego bajde.

Od pół szły przez ogród chłodne i zwiędłe wonie jesienne i slychać było cichy, jednostajny szum wiatru. — — —

— Panie Dziegielewski — ozwał się staruszek.

— Słucham księdza kanonika dobrodzieja.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

zura. A wszystkich unosi żywe tętno muzyki — to marsz Dąbrowskiego, to mazur Chłopickiego, to cześć tej co nie zginęła.

I rażno, żyzo suną się piękne pary — to defilada. Wysuwa się pierwsza para. Wszystkich oczy zwracają się w tę stronę.

Hardo stanie mężczyzna, nieśmiało, jakby zawstydzony przy nim jego dama. I pierwsze kroki stawiają zatwożeni. Lecz ożywiają się. On spojryz dokoła dumny na piękną towarzyszkę i zbliża się do niej — odstępuje i jakby porwany uniesieniem zakreśla krąg, by potem radośnie paść sobie w objęcia i sunąć dalej po gładkiej posadzce.

Potrzebaby Greków i starych Rzymian, ażeby dłu-tem i pędzlem uchwycili przepiękne figury mazura. A Chopin owiał nasz taniec narodowy taką cudownością tonów, taką moc perel brylantów iskiei rozwiął na nimi, że gdy brzmi akord jego mazura, zda się, że nad głowami tańcerzy rośnie jakaś cudowna baśń o szczęciu. —

Koniec.

Jak siebie urabiać!

Dr. Adolf Klęsk.

Aby zwalczać w sobie zło, trzeba przedewszystkiem wzmacniać to, co jest dobrego, hartować ducha i wolę. Wiemy z fizjologii, że każda podnieta w pewnym kierunku wywołuje potem odpowiednią reakcję w innym, często wprost przeciwnym i na tem polega równowaga ustroju. Jeżeli dajmy na to jestem senny, a w czas rano z jakiegoś powodu wstać muszę, to jest to dla mnie przykrem, ale rychło zjawia się miłe uczucie zadowolenia, że spełniłem to, co zamierałem.

Każdy trud, każde wyłożenie energii, obrócone celowo, zostaje też nagrodzone potem pewnem uczuciem zadowolenia i dumy ze siebie. Pierwszym tedy warunkiem ćwiczenia siebie jest wykonywanie w życiu drobnych trudności, które stoją na przeszkodzie w dokonywaniu czegoś potrzebnego czy pożytecznego. Nie trzeba zrażać się tedy trudnościami, lecz owszem uważać je za wprawdzie twardy kamień, ale za to za taki, na którym najlepiej ostrzy się stal naszego charakteru. Cechą słabnącej energii ducha i nerwów jest właśnie wątpienie w siebie i wynajdywanie coraz to więcej przeszkód piętrzących się przed nami.

Jakże często śmiejemy się potem nieraz z tych swoich różnych wątpień i skrupułów. Na zabawie, na którą przed chwilą nie mieliśmy iść ochoty i zmusiliśmy się do pójścia, bawimy się zwykle najlepiej. Natomiast ludzie, którzy czynią zawsze tylko to, na co mają w danej chwili ochotę i co przychodzi im z łatwością, popadają rychło w znudzenie i zniewieściałość i życie traci dla nich wszelki urok. Temi faktami tłumaczmy sobie zadowolenie po pracy, miłe uczucie uznanie ludzi innych za nasze trudy, zdrowy sen po ciężkiej pracy, miłe działanie rozrywek po trudach itp.

Kto odmawia sobie zawsze czegoś, ten zyskuje na tem z procentem, bo gdy odrazu wychyla się puhar, dno puste odrazu się zobaczy. Mieć przeświadczenie ciągłe, że możemy więcej użyć, jak używamy, lecz zarazem, że dokonujemy więcej niż przypuszczaliśmy, że zdołamy, oto prosta zagadka szczęścia na ziemi.

Wierzyć w siebie, wierzyć, że w nas istnieje moc, która wszystkiego dokonać może, wierzyć, że każda przeszkoda da się zwalczyć, że tylko trzeba nietylko chcieć, ale umieć chcieć, to znowu pierwsza zasada powodzenia w życiu.

Zawody rozczarowania, to tylko dowody słabości ducha w danej chwili, kto się im poddaje, ten nie wierzy w siebie, w swe siły, ten nie wybił się jeszcze duchowo, ten nie wart, by dopiął tego, do czego dąży, bo tam na wyżynie nietylko trzeba dojść, ale trzeba umieć tem więcej opierać się wichrom, jak w dolinie spokojnego i codziennego życia.

Są ludzie, którym jak widzimy, szczęście i powodzenie samo pcha się w ręce. Lecz czyż też często nie stwierdzamy, że ludzie ci, doszedłszy lekko w górę po drabinie społecznej, dopiero tam okazują się miernotami, a nieraz w głębi duszy sami czują, że nie dorosli do stanowiska, które zajmują i zazdrością patrzą na innych, którzy w pocie czoła, wolno, lecz stale walcząc z przeszkodami, pną się w górę, gdzie czeka ich zasłużona nagroda za ich hart i za ich moc ducha.

Wiele rzeczy z pozoru wydaje się nam z początku niemożliwymi do osiągnięcia, a jednak przez wytrwałość dochodzi się potem rychło do nich.

Bo nie każdy jest geniuszem, który jednym rzutem dosięga niebotycznych wyżyn, lecz za to każdy z nas ma obowiązek iść stale naprzód drogą wytkniętą, a nie zbacać co chwila na ubocza, gdzie droga wygodniejsza. Życie jest krótkie, trzeba się spieszyć, a kto zamiast iść prosto naprzód, ciągle tylko kołuje, ten się spóźni wszędzie i zawsze, inni przedtem zajmą jego miejsce i czekać znowu będzie ciągle na lepszą sposobność, mając żal do świata, zamiast w pierwszym rzędzie do siebie samego.

Humorystyka

Rozumie się na interesie.

— Jakiemu sposobowi zawdzięcza pan swe powodzenie? — Pyta ktoś właściciela bardzo odwiedzanego sklepu.

— Bardzo prostemu. Jeżeli klient nie widzi rzeczy, której potrzebuje, to ja go doprowadzam do tego, aby potrzebował tego, co widzi.